

RW2010



MARCIN ORLIK
PIASKOSPANIE

MARCIN ORLIK

PIASKOSPANIE

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2014

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Andrzej Homańczyk

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Marcin Orlik 2014

Okładka Copyright © Christopher R. Gray

<http://photogray.ca>

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2014

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-090-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Rozdział 1

Szedł bosy po Rzece. Płytką warstwa wody opływała jego stopy, przynosząc kłujące uczucie zimna. Poskakał chwilę po uginającej się pod jego nogami powierzchni, rozbryzgując wodę na wszystkie strony, jednocześnie mając nadzieję, że uda mu się przebić. Nic z tego; musiał czekać na sygnał, który jak na złość nie przychodził. Spojrzał w dół, prosto w ciemnoniebieską toń pod stopami. Gdzieś w głębinach poruszały się wielkie, ciemne kształty. Miał cichą nadzieję, że nigdy nie zobaczy ich z bliska.

„Inni przynajmniej mogą wrócić do rzeczywistości – pomyślał ze złością. – Nie muszą wciąż stąpać po lodowatej powierzchni Rzeki, czekając, aż ktoś łaskawie da sygnał do zanurzenia. Przybywają tu tylko od czasu do czasu, a ja, my – poprawił się – my tkwimy tutaj bez przerwy, od momentu rozpoczęcia tego cholernego eksperymentu. I jak na razie bez jakiegokolwiek perspektywy na powrót”.

Powierzchnia Rzeki ugięła się lekko pod jego stopami, nie chcąc wpuścić go do środka. Pozostało mu uzbroić się w cierpliwość. Nie czuł się z tym źle; od kiedy tylko pamiętał, chodził po Rzece, kornie czekając, by pozwolono mu wejść do Miasta.

Szedł więc niespiesznie po powierzchni. Wpatrywał się w żółtawe chmury, pędzące po czerwieniejącym niebie wiszącym nad powolnym nurtem, i usilnie zastanawiał się, dlaczego może przejść tylko i wyłącznie po sygnale. Próbował rozważyć w duchu jego naturę. Sygnał musi być wolną projekcją woli i jako taka manifestować się, kiedy tylko zajdzie potrzeba. Problem polegał na tym, że nie udało mu się jeszcze poznać przyczyny przychodzenia sygnału. Gdyby sygnał był wolną projekcją woli, rozumował, w takim wypadku mógłby wejść do Miasta, kiedy by tylko chciał. Logicznym więc się wydawało, że sygnał nie jest zależny od niego, i dlatego próbował

zrozumieć, kto za tym wszystkim stoi. Posiadał jednak niewystarczającą ilość danych, by dojść do jakiegokolwiek konkluzji.

Jak daleko sięgał pamięcią, myślał w ten sposób: schematycznie, zimno, nie potrafiąc zaprząć do procesu decyzyjnego swoich emocji, tak ważnych dla każdego człowieka. Czasami czuł się jak pozbawiona uczuć maszyna, która działa jedynie na podstawie zebranych i przetworzonych schematycznie danych. Kiedy tylko mógł, starał się łamać te wzorce, starał się myśleć emocjonalnie; ale teraz, jak na złość, nie potrafił tego zrobić.

Tymczasem Rzeka zapadała powoli w sen; tu i ówdzie formowały się maleńkie kryształki lodu, tworząc na powierzchni cienką krę, którą tak lubił łamać i niszczyć. Razem ze snem Rzeki przyszła noc, a wraz z nocą jeszcze większy niż zazwyczaj chłód; ale on się tym nie przejmował, zdążył się przyzwycząić. Poza faktem, że było to nieprzyjemne odczucie, nic mu nie groziło – na powierzchni Rzeki poza wodą nic nie zamarało.

Kiedy sygnał w końcu przyszedł – raczej wyczuł go, niż usłyszał – spokojny nurt przyspieszył na chwilę, zalał go po kolana wodą, ale udało mu się utrzymać równowagę. Powoli uniósł dłoń i z rozmachem wbił ją w Rzekę.

Natychmiast zapadł się po pas w lodowatą wodę; igielki zimna przebiegły po jego ciele. Zaczął się stopniowo zanurzać. Odruchowo nabrał powietrza, tego nawyku wciąż nie mógł się pozbyć. Chwilę później ciemna toń otoczyła go ze wszystkich stron, a uszy wypełnił cichy szum. Odwrócił się i zaczął płynąć w stronę czarnych kształtów na dnie Rzeki.

Płuca paliły go żywym ogniem, ale nie panikował. Po prostu je wypluł, po czym z satysfakcją obserwował powolny dryf purpurowoczerwonej tkanki w stronę powierzchni. Ciągnęła za sobą ślad krwi. Nie przejął się tym zbytnio.

W końcu to tylko sen.

Zamknął oczy, zaczął się rozpuszczać, kawałek po kawałku kolejne fragmenty ciała oddzielały się od niego, porywane przez Rzekę, która niosła je gdzieś daleko; nigdy nie zastanawiał się gdzie, bo i po co. Trwał tak przez dłuższą chwilę, tracąc kontakt z własnym ciałem, zabieranym mu przez Rzekę.

Wpadł prosto na wydnię, wzbijając chmurę piasku wokół siebie. Kaszlnął, zarzęził, wypluwając trochę wody, i opadł bezwładnie na suchy piasek. Poczłł lekki ból z tyłu głowy, ale ten ustąpił równie szybko, jak się pojawił. Leżał przez chwilę, próbując zebrać się w sobie. Miał czas.

W końcu to tylko sen.

Ale nie jest to zwykły sen.

To piaskospanie.

Podniósł się powoli, wiedząc już, co zobaczy. Niezależnie od czasu, jaki zajmowało przekroczenie Rzeki, widok był zawsze ten sam. Każdy piaskośniący trafiał akurat w to miejsce i był to fenomen, którego nikt nie umiał wytłumaczyć.

Miasto na środku pustyni. Niektórzy piaskośniący snuli przypuszczenia, że to z powodu Rzeki, że po przejściu przez lodowatą toń podświadomie szuka się miejsca suchego i bezpiecznego, a Miasto stanowi odpowiedź na tę potrzebę. Inni twierdzili, że trafia się tam, ponieważ każdemu początkującemu piaskośniącemu opowiadano o Mieście, więc koniec końców wszyscy musieli się w nim znaleźć. Dla Lewego miejsce to było miastem miast, swoistym archetypem, który leżał samotnie na środku pustyni, zapomniany i powoli odchodzący w mrok niebytu. Jakkolwiek by nie dyskutować nad naturą tego miejsca, i tak wszystkie argumenty okazałyby się w końcu miałkie, jałowe i absolutnie niepotrzebne. Miasto po prostu było, istniało, roztaczało swój ogrom przed każdym piaskośniącym, który śmiał do niego zawitać.

Patrzył przez chwilę na szare budynki, wyraźnie odcinające się od żółci powoli zasypującego je piasku. Niektóre z nich tkwiły w nim aż po dach; inne wciąż dumnie wznosiły się ponad brukowanymi ulicami.

Wstał i zaczął otrząpywać się z kurzu. Obrócił się, by sprawdzić, czy przybył pierwszy. Musiał chwilę poczekać; Prawemu przejście przez Rzekę zajmowało zwykle nieco więcej czasu niż jemu. Przysiadł więc na piasku, zamknął oczy i nasłuchiwał. Kilkadziesiąt uderzeń serca później ciszę pustyni przerwał głośny dźwięk, jakby ktoś powoli rozdzierał gruby materiał, a kolumna wzbitego pyłu wyraźnie wskazała kierunek, w którym powinien się udać. Zbiegł po stromym zboczu wydmy i zobaczył nogi Prawego wystające z hałdy piachu.

Kiedyś jakiś piaskośniący powiedział mu, że przed eksperymentem stanowili z Prawym całość. Potem mieli groźny wypadek i jedyną możliwością ratunku było rozdzielenie na dwie osoby. Gdzieś w rzeczywistości czuwał nad ich ciałem zespół lekarzy i kiedy sytuacja stała się krytyczna, podjęto decyzję o operacji – rozdzieleniu półkul mózgowych. Jako że przechodzili akurat przez Rzekę, prąd ich rozłączył; dlatego zaistnieli jako dwie osoby. I tak już zostało. Nie mogli wrócić do swojego wspólnego ciała – spoczywało gdzieś bezpieczne w rządowym bunkrze – bo według lekarzy skończyłoby się to szokiem i śmiercią. Lewy plunął z pogardą na te zalecenia; razem z Prawym wielokrotnie próbowali wrócić do rzeczywistości. Niestety udawało im się dostać tylko na Rzekę – pierwszy przystanek każdego piaskośniącego – po której szli, każdy osobno, czekając na sygnał zezwalający na wejście do Miasta.

Patrząc na niezgrabnie majtające w powietrzu nogi, uśmiechnął się pod nosem. Prawy zawsze miał problemy z lądowaniem. Najwyraźniej coś go rozpraszało, kiedy przechodził przez Rzekę. Lewy złapał za jedną z wystających nóg i pociągnął do siebie.

– Kiedy w końcu nauczysz się lądować? – zapytał, kiedy głowa Prawego wysuwała się z wydmy.

Poczuł wstyd, choć nie było to jego własne uczucie. Emocje przeskakiwały między nimi jak iskry – przez łączącą ich więź – więc wiedział, że jego towarzysz czuje w tej chwili to co on. Nie mógł się jednak upewnić; Prawy nie mówił. Nie, żeby był

niemy – po prostu nie miał ust. W miejscu, w którym powinny się znajdować, widniała gładka, napięta skóra, a pod nią wyraźnie zarysowywały się zęby. Lewy nieraz łapał się na myśli, że lepiej, by Prawy dalej nie posiadał ust; gdyby pokazał swoje kły, zapewne niejeden piaskośniący padłby na zawał serca i wyleciał z piaskosnu na stałe albo – co byłoby jeszcze gorsze – zostałby w nim na zawsze. Prawy komunikował się głównie za pomocą pojęć, które przekazywał Lewemu przez połączenie. Poza Lewym nikt nie mógł zrozumieć Prawego – tak to już działało.

– Musimy iść do Miasta – powiedział Lewy. – Wiesz coś o zadaniu?

Prawy energicznie pokręcił głową.

– Wszystko dopiero na miejscu? Do dupy z taką robotą – zdenerwował się Lewy.

Prawy kiwał głową, a w umyśle Lewego pojawiło się wrażenie potwierdzenia.

– A pasażera żadnego nie mamy? – zainteresował się Lewy.

Prawy zaprzeczył.

– To znaczy, że póki co go nie widać?

Potwierdzenie.

– To zbierajmy się do Miasta – zakomenderował Lewy. – Po drodze i tak pewnie będziemy musieli przebić się przez masę erpowców.

Prawy pokiwał w zadumie głową. Ruszyli w stronę wydm. Stopy grzęzły w sypkim, rozgrzanym piasku i nieraz musieli sobie wzajemnie pomagać, żeby bezpiecznie dotrzeć na miejsce. Tym razem wylądowali wyjątkowo daleko od Miasta i mieli długą trasę do przejścia. Lewemu to nie przeszkadzało; wszystko było lepsze od niekończącej się drogi na Rzece, do której co prawda zdążył się przyzwyczaić, ale panujący w niej chłód dawał mu się nieźle we znaki. Gorąco pustyni po długim pobycie na Rzece stanowiło bardzo miłą odmianę.

– Prawy, masz gdzieś może twarz tego piaskośniącego, którego mamy spotkać?

– zapytał zdawkowo Lewy.

Potwierdzenie.

– A dałbyś radę mi go pokazać?

Niewyraźna sylwetka pojawiła się przed Lewym, stopniowo nabierając ostrości. Czekał, aż obraz w pełni do niego dotrze. Wiedział, że Prawy musi włożyć w poprawny przekaz wiele wysiłku; połączenie między nimi ostatnio nieco osłabło, czym – jak zauważył – Prawy bardzo się niepokoił. Możliwe jednak, że lęk pochodził również od niego; nie był tego pewien, ponieważ współodczuwali ze sobą wszystkie emocje. Nie oznaczało to jednak, że wiedzieli o sobie wszystko. Prawy wciąż zaskakiwał Lewego, co prawda o wiele rzadziej niż na początku ich wspólnej drogi, ale jednak. Jeśli tylko chcieli, mogliby ukryć przed sobą różne fakty, ale darzyli się zaufaniem. Skupiwszy się na majaczącym przed nim obrazie, zaczął analizować, jak umiał najlepiej. Z całych sił starał się połączyć poszczególne elementy; w końcu udało się i kawałek po kawałku odczytał twarz. Nie zdołał rozpoznać osoby, ale wiedział, że gdy ją zobaczy, nie będzie już miał z tym problemu. „Tyle powinno mi wystarczyć” – pomyślał.

Wchodzili już na jedną z pierwszych ulic Miasta, uważnie przypatrując się erpowcom, małym, półprzejrystym stworom. Erpowce były mieszkańcami Miasta. Poruszały się za pomocą wysuwanych z ciałek nibynózek i z reguły nic nie robiły, poza wesołym hasaniem po zapiaszczonych ulicach. Lewy szedł ostrożniej, uważając, żeby żadnego z nich nie nadepnąć; choć wszyscy piaskośniący żywili pogardę dla tych zdegenerowanych stworzeń, nadepnięcie galaretowatego ciała i uśmiercenie erpowca przynosiło piaskośniącemu pecha. Lewy sam miał okazję obserwować powolny regres tych stworzeń. Kiedy pierwszy raz zawitał do Miasta, erpowce mogły się jeszcze porozumiewać z piaskośniącymi. Było ich wtedy o wiele mniej, ale sprawiały wrażenie bardzo inteligentnych. Obecnie potrafiły się zdobyć jedynie na głupkowaty, telepatyczny chichot, który zdawał się wypełniać puste ulice Miasta.

Idąc, Lewy zauważył, że erpowce są wyraźnie podniecone; niektóre zawisały przed nim w powietrzu, promieniując radością prosto do jego umysłu. Erpowce miały jeden szczególny talent, polegający na odczytywaniu aktywności mózgu piaskośniacego. A przynajmniej mogły to robić jeszcze rok temu; Lewy nie miał pojęcia, czy wciąż posiadają tę umiejętność. Sięgnął pamięcią daleko wstecz, powracając do pierwszych dni w Mieście i usiłując przypomnieć sobie rozmowy z tymi stworzonkami. „Nie – zdecydował w myślach – na pewno nie potrafią zajrzeć komuś do umysłu. Są zdolne do telepatii, ale nie potrafią skanować. A szkoda – skonstatował – bo taka umiejętność naprawdę przydałaby się nam w pracy”.

Tymczasem Prawy przystanął, zainteresowany jakimś budynkiem; Lewy musiał podejść i odciągnąć go siłą.

– Mamy zadanie – przypomniał mu.

Prawy opierał się przez chwilę, niemo protestując, ale w końcu odpuścił i ostrożnie ruszył za Lewym.

– Co tam jest takiego w tym budynku? – zapytał Lewy, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Prawy tylko wzruszył ramionami.

Szli przez żółte od pyłu ulice, patrząc na brudne, spękane fasady starych kamienic. Stanowiły one większość budynków w Mieście, które przez to wyglądało, jakby wzniesiono je u schyłku dziewiętnastego wieku. Jedynym elementem niepasującym do wszystkich budowli była wysoka, metalowa iglica znajdująca się w samym centrum. Widać ją było z prawie każdego miejsca w Mieście. Rdzawa powierzchnia wysokiej wieży przyciągała uwagę w najmniej spodziewanych momentach – odbijając promienie słońca od nielicznych srebrzystych elementów i rażąc w oczy przypadkowych piaskośniających.

Lewy opuścił głowę i zaczął omiatać spojrzeniem chodniki, starając się nie zwracać uwagi na erpowców. Tu i ówdzie na wykładanej kocimi łbami ulicy tworzyły

się małe wydmy, napierające na szare ściany budynków, jak gdyby pustynia nie miała dość zasypywania Miasta i pragnęła zawitać do pustych pomieszczeń kamienic. Na rozrzuconych tu i ówdzie kupkach piasku wesoło skakały erpowce. Promienie słońca przechodziły przez ich małe ciała, rozszczepiając się i topiąc całą ulicę w kolorowym rozgardiaszu. „Pustynia w końcu pochłonie to miejsce” – pomyślał ze smutkiem Lewy. Nikt dbał o oczyszczanie ulic; erpowce nie chciały lub nie mogły się tym zająć, a piaskośniącym nie starczyłoby na sprzątanie czasu.

Patrząc na galaretowate ciała erpowców, Lewy poczuł niepokój. Obejrzał się na Prawego i zrozumiał, że ta emocja pochodziła od niego. Nie rozumiał, dlaczego Prawy denerwował się radością erpowców. Co to mogło oznaczać? Nawet gdyby go zapytał, najprawdopodobniej Prawy by nie odpowiedział; słabo radził sobie z używaniem słów, a przy osłabionym połączeniu między nimi Lewy i tak niewiele by zrozumiał.

Skęcili w prawo i zaczęli iść w stronę zwyczajowego punktu spotkań. Mały okrągły placyk, przykryty płachtą materiału rozpiętą na czterech słupach, należał do jednego z niewielu wolnych od piasku miejsc, a zarazem erpowce zapuszczały się tu naprawdę rzadko.

Zobaczyli go już z daleka; Prawy skinął głową na znak, że to właściwy człowiek. Lewy musiał się przyjrzeć dokładniej. Kiedy podeszli bliżej, zaczął analizować. Krótka czarna broda – zgadza się. Wąskie usta, teraz zaciśnięte, szerokie nozdrza, niebieskie oczy. Czarne, krótkie włosy. Tony. Rozpoznanie zajęło mu trochę czasu.

Piaskośniący splunął zamiast powitania.

– A, to wy – powiedział z wyraźną niechęcią. – Normalnego piaskospacza przyśłać nie mogli?

– Jesteśmy my – odparł zimno Lewy. – Co jest do zrobienia?

Nie lubił piaskośniących, którzy traktowali ich jako coś gorszego, jak Tony właśnie.

– Macie jednego do wyciągnięcia. Próbowałem z nim rozmawiać, ale nic z tego, nie współpracuje. Pierwszy raz w Mieście, w dodatku na przesłuchaniu. Mocno osadzony, pewnie będzie trzeba naprawdę silnie wypychać. Ogólnie gówno i cebula. – Tony splunął ponownie, jakby mógł zawrzeć w tym gości całą swoją pogardę do mocno osadzonych w piaskośnie więźniów, którzy będą wypychani do rzeczywistości przez wybrakowanych w jego mniemaniu ludzi.

Niepokój Prawego wzmógł się; Lewy odebrał to jak uderzenie młotem.

– Jakieś specjalne traktowanie? – powiedział, starając się skupić.

– Badaliśmy P300, próbowałem wyciągnąć jakieś hasła i informacje. Wiadomo tyle co nic, gość jest albo nijaki jak flaki z olejem, albo naprawdę dobry w ukrywaniu informacji. – Tony charknął śliną znowu, najwyraźniej nie umiejąc inaczej zakończyć wypowiedzi. – Zaraz będę spadał – powiedział już nieco spokojniej. – Macie go przegrzebać, jeśli dacie radę, przesłuchać, a potem wypchnijcie go i wracajcie. Jest w pokoju siedemnastym. Ja znikam.

Tony stał przez chwilę z półprzymkniętymi powiekami, skupiając się na swoim ciele. Machnął ręką; za jego plecami rozległ się cichy świst, skoczył w tył, prosto w rozwierającą się szczelinę w osnowie snu. Jego ciało wykręciło się, zgięło i skoncentrowało w jednym, małym punkcie, który został wessany przez rozdarcie z cichym pyknięciem.

– Myślisz, że też tacy byliśmy przed rozdzieleniem? – zapytał Prawego.

Ten rozłożył ręce, przekazując wrażenie niewiedzy. Jednocześnie inna myśl, ostra, atakująca, wdarła się do jego umysłu przez połączenie.

– To ona jednak jest z nami? Po co to ukrywałeś przede mną? – zapytał ze złością.

Poczuł coś, co z braku innego określenia nazwałby ostrożnością.

– Dobra, wypuść ją, pewnie się męczy w zamknięciu – powiedział Lewy, nerwowo pocierając czoło.

Brzuch Prawego wzdał się do gigantycznych rozmiarów. Formujący się szybko na jego tułowiu guz rozwinął się i nabrzmiał, kontury zarysowały się na powierzchni skóry, z której wypłynęło osiem odnóży. Z obrzydliwym, rozdzierającym uszy młaniem purpurowoczarny odwłok powoli odkleił się od Prawego, ciągnąc za sobą kawałki jego ciała. Pająk wylądował na ziemi i zaczął przebierać nogami, drżąc konwulsyjnie. Po chwili stanął nieco pewniej i podniósł dwa pierwsze odnóża, jakby chciał o coś zapytać.

– Już dobrze, Schizofrenio – powiedział Lewy, podchodząc do dygoczącego stworzenia. – Wszystko w porządku, Prawy?

Prawy kiwnął głową i uśmiechnął się samymi oczami, jak to miał w zwyczaju, po czym zaczął delikatnie głaskać owłosiony pajęczy odwłok, klepiąc się po brzuchu i zasklepiając ranę po odłączeniu się Schizofrenii. Lewy obszedł pająka, szepcząc coś uspokajająco. Schizofrenia drżała jeszcze przez chwilę, po czym rozluźniła się i niczym wielki ośmionożny kot zaczęła ocierać się o ich nogi.

– Mam nadzieję, że nikogo nie ma w pobliżu, lepiej, żeby jej nie widzieli – zmartwił się Lewy. – Rośnie coraz szybciej. No, kto jest dobrym pająkiem? – zwrócił się czule do Schizofrenii i pogłaskał ją delikatnie po szczękoczułkach.

Pająk potrząsnął owłosioną głową, jakby miał łaskotki, i zaczął się przymilać.

Lewy poczuł, jak napływa do niego poczucie zagrożenia.

– Masz rację, jeśli nas z nią tutaj zobaczą, już nie pozwolą nam wejść do Miasta – powiedział smutno do Prawego. – Ale jaki mamy wybór?

Stali przez chwilę w milczeniu, wiedząc, co by to dla nich oznaczało. Chodzenie po Rzece aż do śmierci. Lewy wzdrygnął się mimowolnie, to samo zrobił Prawy. Pająk spoglądał na nich przez chwilę, po czym otrząsnął się, parodiując ich ruchy. Ro-

ześmieli się; Schizofrenia zawsze jakimś cudem wiedziała, co zrobić, by poprawić im humory.

– Ech, ty – mruknął Lewy, czochrając Schizofrenię po krótkiej szczecinie porastającej jej głowę. – Mamy zadanie do wykonania.

Więzień patrzył na nich wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Jego spojrzenie zatrzymało się przez chwilę na Prawym, szczególnie na jego twarzy pozbawionej ust. Prawy zawsze miał problem ze zrobieniem pozytywnego pierwszego wrażenia. Jego wygląd niepokoił nawet tych, którzy regularnie wchodzili w stan piaskospania i nieraz zdarzało im spotykać ich dwóch, a co dopiero ludzi widzących coś takiego po raz pierwszy. Rozszerzone oczy i drżące usta więźnia wyraźnie wskazywały, że jest przerażony. „Dobrze, że nie wpuściliśmy tu Schizofrenii – pomyślał Lewy – dopiero mielibyśmy z nim bał”.

– Tego, ee... – zaczął niepewnie. – Dzień dobry. Zgaduję, że wie pan, dlaczego tutaj jesteśmy.

Lewy uważał, że zawsze warto zachować podstawowe zasady dobrego wychowania, nawet przy rozmowie z więźniami.

Człowiek nie odpowiadał, patrząc cały czas na Prawego.

– Czemu on nie ma ust? – zapytał. W jego głosie zabrzmiały nutki paniki.

Lewy westchnął w duchu. Histeria była ostatnia rzeczą, jakiej potrzebował w tym pokoju.

– Uspokój się – rozkazał więźniowi ostro, choć wątpił, by to pomogło. Zawahał się, a potem spróbował innego podejścia. – Chcesz stąd wyjść? – zapytał.

– Próbowałem – odpowiedział człowiek, wciąż nerwowo spoglądając na Prawego. – Nie mogę nawet dotknąć drzwi.

– Może inaczej. Chciałbyś już wrócić do więzienia?

Oczy człowieka rozszerzyły się wyraźnie.

– A możecie mnie tam wysłać z powrotem? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Możemy. Ale najpierw chcemy się dowiedzieć tego i owego. Zaczynając od tego, jak się nazywasz.

– Jestem Zacny – odparł więzień. – Zostałem aresztowany trzy miesiące temu i od tej pory trzymano mnie w zwykłym więzieniu. Nie podam wam żadnych informacji, nic ze mnie nie wyciągniecie – oświadczył z mocą. – Wasz poprzednik wyszedł stąd zrezygnowany. Wy też nie dacie rady. Niezależnie od tego, co ten potwór ze mną zrobi, nie będę mówił.

Lewemu zrobiło się przykro, ale rozumiał, że to uczucie pochodziło od Prawego.

– Nikt nie oczekuje od ciebie, żebyś mówił – powiedział ostrzej, niż zamierzał.
– Po prostu zabierzemy cię na przejażdżkę.

– Dokąd? – zapytał człowiek. – Nie mogę opuścić tego pokoju niezależnie od tego, jak bardzo się staram. Wasz poprzednik miał sporo radości z tego powodu.

Lewy skrzywił się z niesmakiem. Z drugiej strony, czego można oczekiwać od Tony'ego? Może i świetnie przesłuchiwał, ale za bardzo rozpraszały go niepowodzenia. Jeśli pojawiały się trudności, wzywano Lewego i Prawego, a skoro Tony nie dał rady, sprawa z całą pewnością była ciężka.

W przypadku normalnych przesłuchań – zanim odkryto piaskosen – więźniom nakładano na głowę EEG, maszynę do odczytywania potencjałów elektrycznych w mózgu, i z jej pomocą wyciągano informacje, prezentując im różne rzeczy i odczytując konkretne fale mózgowe. Niestety skuteczność była dosyć niska – na poziomie ledwo trzydziestu procent – więc metoda badania w rzeczywistości szybko została zarzucona. Jednak później odkryto, że podczas piaskospania skuteczność wzrasta do niemal stu procent – o ile udało się znaleźć właściwe dane do prezentacji. Skąd wiedziano, które dane coś znaczą? Pomocne okazały się pojedyncze potencjały elek-

tryczne w mózgu, znane nauce jako P300, odpowiadające za rozpoznanie czegoś dobrze znajomego, i doskonale się nadawały do wyciągania bezpośrednio z mózgu numerów identyfikacyjnych, haseł i znanych miejsc, takich jak miejsce zamieszkania. Dość, żeby dalej działać i odnaleźć kolejne osoby, które mogły coś wiedzieć. Dlatego Lewy i Prawy zamierzali zabrać więźnia do jego własnego snu i otoczyć różnymi rzeczami, by sprawdzić, które okażą się dla niego znajome. Wiedzieli, że gdzieś w rzeczywistości czeka już zespół lekarzy i specjalistów, gotowych do wydobywania danych, odszumiania zapisu i wyciągania wniosków. Oczywiście Prawy i Lewy nie mogli wiedzieć, które z prezentowanych danych będą coś znaczyć – dane odczytywano bezpośrednio z EEG, więc wiedzieli o tym tylko monitorujący lekarze – ale doszli do takiej wprawy w prezentacji podczas piaskospania, że prawie zawsze udawało im się wyciągnąć niezbędne informacje. Dla Lewego oznaczało to jednak zmuszenie więźnia do współpracy – w zasadzie nie tyle więźnia, co jego mózgu. Musiał stworzyć sztuczny sen, po czym narzucić go przesłuchiwanemu, a przy okazji zabrać ze sobą Prawego.

– Prawy, zabierz Schizofrenię z powrotem do siebie, czas na przejażdżkę – rozkazał, koncentrując się na formowaniu rozdarcia.

Jego piaskośniący towarzysz otworzył drzwi do pokoju przesłuchań i przywołał Schizofrenię do siebie. Skoczyła mu prosto w brzuch i natychmiast zespoliła się z nim. Na szczęście więzień tego nie widział; był za bardzo skupiony na mamrotaniu czegoś pod nosem. Lewy tymczasem wyciągnął przed siebie rękę, cały czas koncentrując się na sztucznym śnie, i wbił ją w osnowę Miasta. Przesunął dłoń, drąc senną materię, czując, jak poddaje się jego palcom i otwiera przed jego sztucznym snem, po czym złapał Zacnego i wrzucił do świeżo utworzonej szczeliny. Tamten wrzasnął, ale nie mógł nic zrobić – spadał już w sztuczny sen. Chwilę później przez rozdarcie przedostał się Prawy, a za nim skoczył Lewy, zamykając je za sobą, po czym poszybował w dół, prosto ku miękkiej ziemi sztucznego snu.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

